

## WIADOMOSCI BRUKOWE.

Wilno w Sobotę

Dnia 4 Maja.

## PAN ZACHARYASZ PRAWDZIC.

Pan Zacharyasz *Prawdzc* urodził się w *Szawlach*, powiatowém miasteczku na *Żmudzi*, i nie podróżował przez całe życie, jak tylko do pobliskich wiosek. Z tém wszystkiém poznał się lepiej na ludziach, niż ci, którzy majątek swój w *Paryżu* lub *Neapolu* zjedli. Pełen był różnego rodzaju historyek, których mu własne doświadczenie dostarczyło. Nie wiele w nich było zalety z wynalezienia, ale tém więcej z użyteczności praktyczney; a co miały w sobie najosobliwszego, to, że zawsze mówił po parze tych przypowieści.

Raz znajomy jemu młodzik, Pan *Szust*, uwielbiał jego rozum.— Ey, co tam, odpowiedział Pan *Prawdzc*, i czmychnął, miałabym ja bydz tak rozumny!

Powszechna to sława! Mości *Prawdzc*, a że i ja życzyłbym sobie podobney.....

No! jeżeli w istocie tego tak sobie życzyacie, to nie ma nic trudnego. Uważajcie tylko pilnie, jak robią głupcy.

Co? jak robią głupcy?

Tak jest Panie *Szust*, a starajcie się inaczej robić, jak oni.

Naprzykład?

Naprzykład, Panie *Szust*. Za mojej młodości, żył tu jeden stary arytmetyk, zgryzliwe, osowiałe stworzenie, nazywał się Pan *Zero*. Ten snuł się ponuro od kąta do kąta i mruczał zawsze pod nosem. W życiu swoim do nikogo nie zagadał, a tém mniej jeszcze, żeby komu w oczy spóyrzał. Zawsze tylko patrzył w ziemię.— Jakże myślisz, Panie *Szust*, że go ludzie nazywali.

Jak? zapewne głową myślącą.

Ba i prawda? właśnie też? nazywali go po-

wszechnie... głupcem.— Oto, pomyśliłem ja tu sobie (tytuł nie bardzo mi smakował) nieboraku *Prawdzc*, nie rób tak jak Pan *Zero*. Nie pięknie. Patrząc z podejba nie warto! Lepiej patrz ludziom w oczy, śmiało i przystoynie! albo żeby do nikogo nie gadać, to dziko. Mów raczey z drugimi— Coż Panie *Szust*, jak się w Panu zdaje to moje rozumowanie?

Zapewne, tak zawsze potrzeba!

Ależ bo to nie wiem czy koniecznie tak zawsze. Bo w tym samym czasie, wędrował tu po naszych okolicach drugi biegus, nazwiskiem Pan *Furbo*, tanecmistrz z rzemiosła; ten wszystkim w oczy zaglądał, wszystkich zaczepiał, język jak na kołowrocie, do wszystkich gadał, kto tylko miał uszy. Wieszcze, Panie *Szust*, jak jego też nazywali?

Jak? może człowiekiem krotosłnym.

Zgadłeś? Głupcem!— Tam do kata! Pomyśliłem ja sobie, to coś po cudacku. Jakże tu robić, żeby nie wystrychnąć się na dudka. Ani zupełnie tak, jak *P. Zero*, ani zupełnie tak, jak Pan *Furbo*. Naprzód patrzaj ludziom śmiało w oczy jak jeden, a potem rozmyślnie zwróć je na siebie, jak drugi. Naprzód rozmawiaj z ludźmi jak Pan *Furbo*, a potem samotnie z sobą jak Pan *Zero*. Otoż widzisz, Panie *Szust*, tak ja zrobiłem i to cały sekret.

Drugi raz nawiedził go młody kupiec z Nitawy Pan *Gryps*, który bardzo narzekał na swoje nieszczęście. No cóż? odezwał się stary *Prawdzc* i potrząsł go za rękę. Trzeba tylko szukać szczęścia Panie *Gryps*, nie trzeba rozpaczać. Oy! szukajmy go dawno, ale cóż to pomoże. Bieda bieży za biedą. Przyydzie do tego, że porzucę wszystko i opuszczę rękę.

A nie czyni tego, nie, Panie *Gryps*, opusz-

czuć rąk nie można. Staray się tylko dobrze uważać, jak masz twarz swoją trzymać.

Co, jak mam twarz trzymać?

Tak jest Panie *Gryps*. Jak twarz trzymać. Wy tłumaczę się wam jaśniej. Kiedy tu po lewey ręce mój sąsiad dóm stawił, cała ulica założona była belkami, ceglami, krokiewiami. Przechodził tam przypadkiem nasz Pan Sowie-tnik *Chwyć*, wielki jeszcze w tedy paliwoda, który biegł z oczyma podniesionemi i głową tak zadartą, że zdawał się chcieć nosem obłoków dosięgnąć; wpadł między belki i krokwie, hrym! jak długi, stłukł mozgownicę, i dotąd nosi dzi-kie na niey wyrosłe, które każdy widzi.

Ah! stara przypowieść, nie zadzieray zbyt nosa do góry.

Tak jest, widzicie Panie *Gryps*, ale też, ani zwieszay zbyt na dol. Bo niedlugo potem w tém samém miejscu szedł zadumany nasz poeta Szawelski Pan *Kroko*, musiał mieć w głowie wiersze, albo domowe smutki, bo wlokł się krokiem tak opieszalym, tak zamysłony, tak kwaśny, z oczyma tak w ziemi utopionemi, jakby się w niey chciał zagrzebać, krak! urywa się lina, i belka jak piorun spada na pięć przed jego nosem. Z przełknięcia zem-dlał na miejscu nieborak poeta i kilka tygodni przychorował. Uważaycież Panie *Gryps*, jak trzeba twarz trzymać-

W Pan myślisz, tak w mierze, regularnie.

Zapewne, ani zbyt górnje w obłokach, ani zbyt smutno w ziemi. Tak oczy trzymając i prowadząc je spokojnie już ku niebu, już spuszczać ku ziemi, a obracając około siebie, idzie się jakoś coraz naprzód i nie tak się łatwo na nieszczęście wykrzyka.

Jeszcze raz odwiedził Pana *Prawdźica* młody poczynający spekulant Pan *Fraszka*. Ten, żądając wejść do tworzącej się już wtedy kompanii wydawania dzieł w *Szawlach*, chciał ku pomocy drukarskiej u niego pożyczyc pieniędzy. Nie wiele ja się na tym funduję, mówił, osobliwie w naszym kraju, przewiduję to z góry,

ale gwałtem mnie ciągną, trzeba wziąć choć jedną akcyą.

Ten ton nie był do smaku Panu *Prawdźico-wi*. Wieleż to tam, kochany Panie *Fraszko*, na tę akcyą potrzebujecie?

Drobnostka mała, sto rubelków.

Jeżeli nie więcej, to ja dam. Z naywięk-szą ochotą. I nawet na dowod, że mu sprzy-jam, dam mu jeszcze prócz tego coś takiego, co między braćmi rzucając od siebie, warto zawsze swoich tysiąca rubli. To może bydz początkiem twego z bogacenia się.

Ach, Panie *Prawdźic*, jak to prócz tego je-szcze.

Ey, to nic. Jest to tylko mała historyyka. Kiedym był młody, żył tu w moim sąsiedztwie wmiarz Pan *Łyka*, oryginalny człowiek. Ten nawykł był powtarzać jeden osoblhy sposób mówienia, który go przywiódł do torby.

Ach dla Boga! cóż to za sposób mówienia?

Kiedy go pytano: Jak się wam powodzi Pa-nie *Łyka*? Zyskalżes co na swoim handelku? Drobnostka odpowiedział, piędziesiąt rubelków, co to znaczy? Albo, gdy do niego mówiono: Ten i ów Sędzia, Marszałek, poszli na Exdy-wizyą, co miałes u nich, przepadło. Ey to ma-ła rzecz, odpowiadał. Nie warto gadania. Pięć-set rubelków. — Człowiek ten był w dobrém pierzu, znaliśmy go; ale jakem powiedział, je-den ten przekłety frazes wysadził go, jak mo-wią, z siodła i musiał pójść zebrać — Wie-leż tam potrzebowaliście Panie *Fraszko*?

Ja Mości *Prawdźic* prosiłem was o sto rubli.

Prawda, pamięć mnie już odstępuje. Ale miałem jeszcze jednego sąsiada po prawey stro-nie, ten handlował zbożem, Pan *Krupa*. On, jedném też słowem, które powtarzał, wybudo-wał wielki dom, z całém zabudowaniem gospo-darskiem, i ogromny skład towarów. Jedném słowem! Cóż wy na to?

Ach! jakem pocziw Mości *Prawdźic*; bar-dzobym rad wiedzieć, co to za słowo?

Kiedy się go kto zapytał, jak się W Panu powodzi Panie *Krupa*, zyskalżes co na swoim

zbożu? Ach! niezmiernie wiele, mówił, i wten czas widziano oczy jego wyiskrzzone, serce w nim z radości skakało: całe sto rubli. Albo kiedy się kto odezwał. Co wam jest Panie *Krupa*, że tak jesteście smutni? Ach! odpowiadał, straciłem, niezmiernie wiele, straciłem, 50 karbowanych rubli. — Zaczął od niczego ten człowiek; ale, jak powiedziałem, w oczach naszych, postawił sobie wielki dom z magazynami, i ma piękny sklep kupiecki. — Cóż Panie *Fraszko*, który sposób mówienia lepiej się wam podobą?

Oh! rozumie się, ten ostatni.

Ależ bo i to nie zewszyskiem. Bo Pan *Krupa* mówił też *wiele, niezmiernie wiele*, kiedy przyszło ubogim i oyczyźnie dawać, a wtedy mógł mówić tak, jak Pan *Lyka*, mój drugi sąsiad. — Co do mnie, Panie *Eraszko*, który mieszkałem między temi dwoma sposobami mówienia, zanotowałem sobie oba, i wedle czasu i okoliczności, mówię raz tak, jak Pan *Lyka*, drugi raz, jak Pan *Krupa*....

Nie, nie, na duszę moję, ja trzymam z Panem *Krupą*. Dom duży i sklep kupiecki mają dla mnie swoje powaby.

Chciałbyś tedy.....

Wiele pieniędzy, wiele pieniędzy, kochany Panie *Prawdzie*, całe sto rubli.

A widzicie Panie *Fraszko*! już będziecie je mieli. Bardzo dobrze; kiedy więc u przyjaciela pożyczasz; potrzeba mówić zawsze, jak Pan *Krupa*; a kiedy przyjacielowi w potrzebie pomagasz, potrzeba mówić, jak Pan *Lyka*.

## DJABELSTWO KUŁAWE.

*Exdwyizya.*

Leciałem, albo raczej uciekałem co tchu z oyczyzny, jak się to zwyczajnie w początkach podróży zdarza: kiedy przelatując przez pewny dóm, postrzegłem w obszernej izbie stoł czerwonym suknem okryty, przy którym siedziało pięć figur, a przy innych stolikach siedziały tyl-

ko figurki. Figury te różniły się z sobą co do stroju. Ten, który we środku na wielkim krześle zasiadał; i dwaj jego koledzy, nosili na szyi niejakie sznurki galeczkami drewnianemi nabijane. Dowiedziałem się późnziej, że ci trzej Panowie byli mieszkańcami pewnego kraju, w którym na te sznurki wielka jest fabryka i uważałem, że na pozostałych dwóch bezsznurkowych kolegów, a którzy z innego byli kraju, z litością poglądali. Leżała przed nimi wielka xięga, do której spisywali grzechy pewnego granda, a dla tych, względem których on przewinił, w teyże xiędze zapisywali restytucyą. Podwoje tey izby były mocno obwarowane: znajdował się bowiem ten areopag na *namowie* (podług wyrazu krajowego), i każdy z sędziów zaprzysiągł na niewidzialność. Ledwie się zamknęli, pokłócili się o barwę; dwóch sznurkowych Panów nosiło barwę granda dziedzica, a dwaj bezsznurkowi uparli się przy swojej własnej barwie; jeden tylko bezsznurkowy nie miał jeszcze żadney: gryzło go to wielce, że został ni tym, ni owym. Wziął zatem kawałek papieru, i napisał na karteczce „*kto więcej da*“ a karteczka czarodziejskim sposobem przeniknęła obwarowane drzwi: po niejakieys pauzie wsunął się do izby worek z napisem 2,000: dzwignął go sędzia, i odział się w barwę dziedzica. Gdybym się cały składał z oczu, uszu i języków, nigdybym dokładnie doyrzec, usłyszeć, i opowiedzieć nie mógł; ile się ci ludzie z sobą nagryźli, kiedy szło o taxę sumnienia granda. Dowiedli jednakże we trzech, pomimo oporu dwóch, że sumnienie granda tak jest rozciągle, że nie tylko wystarczy na wszystkie grzechy, ale jeszcze i jemu się zostanie. Wsrzód tego gwaru zawolała figurka z rejestru grzechów. „Szlacheic NN. ma 800 srebrnych wielkich pretensy do granda!“ kto on jest (zapytał się jeden z barwowych). Czy nasz przyjaciel? nieznamy! odpowiedziała figurka. — Czy bogaty, czy chudeusz? chudeusz! — Dosyć mu zatem będzie 25, z których jedynaście na salarya wyrzącić: czy zgoda? — Zgoda, krzyknęli we trzech, a

dway tamci milczeli. — Zawołała daley figurka z rejestru „Pewna wdowa liczy pretensyi do JW. granda 600 ziarn złota!“ Czy ładna? zapytał się sędzia — Brzydka, bo już ma lat 70; całą młodość spędziła na usługach w domu granda — Dać jej 200 ziarn srebra, rzekł sędzia; dosyć dla niej zysku, że służyła tyle lat JW. Panu. A teraz kto następuje? pytał się sędzia. — Pretensya JW. grandowej na dobrach fartuszkowych hypotekowana roku . . . milcz, krzyknęli wszyscy, nie idzie tu o rok, ale o pretensyą: przykryć tym fartuszkim połowę sumnienia JW. granda. Teraz idą fabrykanci sznurków z gałeczkami! kiedy te słowa wymawiała figurka, wszystkie figury, uchyliwszy głowy z uszanowaniem, rzekli, ulokować ich na piaskach — Otoż i ostatnia pretensya zawołała figurka, a ta jest Biedackiego, który nie mógł, czy niechciał odwiedzić Panow — Jego? krzyknęli przeraźliwie! ponieważ niechciał nic do nas przynieść, niechże nic i nie wynosi! ale dla oka dać mu karczmę z ziemi bitą, a grunt, na którym jest zabudowaną, przysądzić komu innemu, i rozkazać Biedackiemu, aby natychmiast ją przeniósł. Na tym ukończono pisanie księgi. Dway milczący podpiśali ją z rozpisem, a *omne trinum perfectum*, uderzywszy się w piersi, podpiśali bez salwy. W ten czas zadzwoniono: odemknęły się podwoje, i tłum ludzi się naciśnął — Po przeczytaniu pierwszej karty, pobledli wszyscy: zrobiło się wielkie zamieszanie, z którego korzystając zbliżył się ktoś do sędziego i wgłos rzekł: „nie dotrzymałeś mi słowa, od-day mi tabakierkę z pięciuset ziarnami złota“ Rad nie rad, musiał się nieborak sędzia rozstać z tabakierką i piaskiem złotym. Lecz najwięcej narzekali fabrykańci sznurków, dowodząc, że nie mogą być lokowani na piaskach: gdyż zrobili wotum sadowie się na samych tylko opokach. — Wzdychał izraelita; ze za 84,000 wiel-

kich srebrnych pretensy dostał jedynaście chat. — Wzdychali kondyktowi, przyjaciele granda, że się ich państwo kończy: a biedacy, którym sposob do życia odjęto, płakali. — Wzruszył się ich łzami grand i dał im słowo honoru, że we dwóch godzinach polepszy ich dobę. — pokłonili się mu nisko; a on tym czasem westchnął tak pięknie do mnie: żem do dziś dnia wszystkie zegary zatrzymał. — Pryskoczył nakoniec jeden z tych ichmościow, którzy mają przywilej za drugich gadać, i począł grozić Sądowi; oburzyli się na to sędziowie, i chcieli go pozwać o szkalowanie urzędu; ale zręczny mówca rzekł im: *fructu, non foliis, arborem aestima*, i uspokoił się wszyscy. — Opuściłem ten dom i leciałem do zwyczajnych moich siedlisk: w przelocie postrzegłem jednego skrzywdzonego, czyli kredytora paśącego 60 krów na czwartey części zamarzonego jeziora, którą mu także bez najmniejszego kawalka gruntu przysądzono.

#### R o z m a i t o ś ć.

Pewny czytał o obyczajach i prawach rzezypospolitey spartańskiej, gdzie większe były kary za stracenie w bitwie tarczy jak oręża. Gdy ów czytelnik w jednym szyneczku posłał się ponczem dostał niemilosierny policzek; nie dotrzymał prawda placu, ale jak Spartanin swej tarczy, tak on szklanki z ponczem nierozlał i nie upuścił, dokończył jej w sieniach, w czasie retyrady, i szklankę prózną na placu zostawił, mając ją za oręż, a poncz za tarczę. Jak to dobrze byź literatem . . .

Czyni się wiadomo, iż od nowego roku wychodzić będą wiadomości wietrzne, wodne, a może i ogniste; kto zechce je utrzymywać, powinien wcześniej pieniądze przysyłać. Redaktor oświadcza przyjęć w każdym czasie, dla przysługi szanowney publiczności.

Dozwala się drukować z warunkiem dostawienia do Komitetu Cenzury siedmiu *exemplarzy dla miejsc prawem wyznaczonych.*

X. F. N. Golański Czł. Kom. Cenzury.

w Wilnie w drukarni Redakcyi pism peryodycznych.